

LIRA
WYDAWNICTWO

FELIKS FALK

OPOWIEŚCI PRAWDOPODOBNE I PRAWDZIWE

GMACH

OPOWIEŚCI PRAWDOPODOBNE I PRAWDZIWE

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67654-28-9

**FELIKS
FALK**

GMACH

OPOWIEŚCI PRAWDOPODOBNE I PRAWDZIWE

LIRA
WYDAWNICTWO

*Dziękuję żonie i rodzinie
za wsparcie w mojej długiej podróży po „Gmachu”*

OPOWIEŚCI

P R A W D O P O D O B N E

G M A C H

C hodzę po tym gmachu (czasami zwanym wieżowcem albo pałacem) od wielu lat, ciągle z tą samą myślą: wydostać się, znaleźć odpowiednie drzwi, które pozwoliłyby mi stąd wyjść. Ale naciskając klamkę, już wiem; tam, po drugiej stronie, jest także pokój, mniejszy, większy, tak czy inaczej umeblowany, o białych lub wytapetowanych ścianach, ale niemal zawsze z drugimi drzwiami, prowadzącymi do następnego pokoju. Niemal — bo są pokoje ślepe, prowadzące

donikąd, przedpokoje, służbówki czy tajne schowki, z których trzeba potem wracać, kluczyć w labiryntach fałszywych korytarzy, aż znajdzie się znowu ten właściwy pokój, z którego wyjdziemy na zagubiony szlak, aby rozpocząć wędrówkę na nowo, z nadzieją, o której myślimy, „że jednak”, „że mimo wszystko”, a która w końcu zawodzi nas i nigdy się nie spełnia.

Historia i początki gmachu nie są jasne do dzisiaj. Spierają się o nie naukowcy i teolodzy, powstało wiele teorii, często sprzecznych ze sobą. I jak to często bywa, kiedy mamy do czynienia z Tajemnicą, raz przeważają zwolennicy materii, innym razem ducha. Jedno jest pewne: gmach ulegał i nadal ulega przemianom. Cały czas trwa proces przebudowy i rozbudowy zarówno wwyż, jak i wszere. Ciągłe można zauważyć nowe pokoje, czasem większe i wyposażone w nowoczesny sprzęt, pojawiają się nowe, nieznane dotąd przestrzenie, których przeznaczenie nie zawsze jest jasne, a świeże ściany w starych pokojach świadczą także o tendencji rozwojowej panującej wewnątrz gmachu. Są podróżnicy, którzy docierają do najdalszych zakątków budowli i przywożą często niezwykle opowieści o nieznanach fragmentach gmachu.

Najciekawsze jest jednak to, że mając dostęp do wielu informacji, łącznie z internetem, nigdzie nie

udało mi się odnaleźć innego wizerunku gmachu niż ten, który znany był zawsze. Jedynym bowiem źródłem wiedzy o tym, jak on wygląda od zewnątrz, pozostaje obraz Wielkiego Anonima, ten sam obraz, który znam od dzieciństwa, ponieważ wisiał niemal w każdym pokoju, który odwiedzałem. Ale to jest obraz nierealny, symboliczny.

Kiedy teraz zastanawiam się nad latami spędzonymi w pokojach szkolnych, stwierdzam ze zdziwieniem, że żaden nauczyciel nie wspomniał ani razu o wyjściu. Nikt nie wskazał nam drogi ani kierunku, w jakim mamy podążać. Dzisiaj im się nie dziwię. Zahukani, sterroryzowani przez nas, pod presją kuratorów, po zajęciach w szkole szybko umykający do swoich mieszkań, żon i dzieci, do telewizorów z najnowszymi wiadomościami, skąd mogli czerpać wiedzę na temat właściwej drogi. Zresztą ich także nikt tego nie nauczył.

Dlatego ciężar poszukiwań spadł na nas nielicznych, którym zależało na poznaniu prawdy, na znalezieniu wyjścia. Sprawdzić sens i znaczenie mitu zawartego w obrazie Anonima. Ale nie mogliśmy o tym mówić wprost. Nie mogliśmy nigdy mówić głośno, że szukamy wyjścia. Nie było to zakazane, ale wszyscy zawsze mówili o nim, nie określając dokładnie, o co chodzi. Wszyscy bez trudu odgadywali wszelkie

aluzje czy niedomówienia. Był to temat i nadal jest, który zawsze, od lat, a może od wieków krążył i krąży w tym gmachu.

Nie pamiętam już dzisiaj dokładnie okoliczności, w jakich wprowadzono mnie do gmachu. To znaczy tylko ja używam określenia „wprowadzony”. I może jeszcze jakaś liczba osób, z którymi próbowałem o tym rozmawiać, ale zdecydowana większość nie zastanawiała się nad tym, a ci, którzy opierali swoją wiedzę na oficjalnej historii tego budynku, twierdzili, że tu się urodzili. Dlatego nie jestem nawet pewien, czy nastąpiło jakieś wprowadzenie. W dodatku rodzice nigdy nie wypowiadali się jasno na ten temat. Z tego, co usłyszałem od nich (jeśli przypadkiem spotkaliśmy się w którymś z pokoi), wynika, że oni również nie pamiętają swego wprowadzenia, a kiedy wspominali o swoich rodzicach, pamięć ich zacierала się i ostatecznie gubili się w meandrach niespójnych relacji.

Co do wyjścia mogę się domyślać, że w latach swojej młodości moi rodzice próbowali, również tak jak ja dzisiaj, szukać tej legendarnej bramy prowadzącej na zewnątrz i zniechęceni próżnym wysiłkiem, a może zmęczeni zbyt długim szukaniem i upływającym czasem, zrezygnowali i osiedlili się w kilku wolnych pokojach, z których jeden miał kiedyś przypaść mnie.

Opowieści o gmachu towarzyszyły mi od najmłodszych lat.

Początkowo w formie baśni i legend zarojonych przez wspaniałe, szlachetne i odważne postacie dokonujące niebywałych czynów, ale również pełne potworów i wielogłowych istot czyhających na bezbronnych ludzi. Dawano mi też do zrozumienia, że w gmachu są miejsca, w których straszy. W ten sposób budowano mój strach, którego ciężar miałem poczuć później.

Kiedy podrosłem i posłano mnie do pokoi z naciskiem nazywanych szkołą, dowiedziałem się, że istnieje historia gmachu. Wielowiekowa historia, w chronologicznym porządku. Usłyszałem o wielu ciekawych rzeczach, poznałem dokładne daty prze-wrotów (pałacowych) oraz ich ekonomiczno-spo-łeczne tło, poznałem kolejnych władców i systemy polityczne, poznałem style, którym poddawał się gmach na przestrzeni epok. Wpompowano w nas zlepki wiedzy, a zapomniano powiedzieć, jak tę wiedzę wykorzystać w naszych poszukiwaniach. Tam były pokoje szkolne, znormalizowane, jednakowe w swej monotonii białych ścian z czarną tablicą na frontowej i podrapanymi blatami ławek rozsianych w trzech lub czterech szeregach po klasie. A poza nimi, gdzieś daleko, w innych pokojach biło serce

prawdziwego życia, którego nas nie nauczono. Tak, nauczono nas historii, ale prawdziwy (o tyle prawdziwy, o ile wyobraźnia tego wymagała) obraz gmachu tworzyły opowieści przynoszone przez inne dzieci, przekazywane na korytarzach podczas przerw czy w toaletach, gdzie szło się wypalić pierwsze papierosy. Te opowieści (a może plotki, półprawdy) miały swoje źródło w głębi gmachu, na terenach niedostępnych dla mnie i innych dzieci, ale odwiedzanych (w ograniczonym zakresie) przez naszych rodziców lub przez ich znajomych, lub nawet przez znajomych tych znajomych i przekazywanych sobie podczas spotkań w którymś z mieszkań, gdzie pito herbatkę i rozkoszowano się ciastem upieczonym przez gospodynię. Byłem czasem świadkiem takich spotkań. I słuchałem opowieści dorosłych. Ktoś coś wiedział albo nie wiedział nic, ale twierdził, że to prawda, tworząc w ten sposób klimat niepewności i osaczenia rozładowywanego później w żartach pełnych aluzji do aktualnej sytuacji politycznej.

Ale były też informacje przekazywane z ust do ust, które zasłyszane przez kogoś już w formie mocno zdeformowanej, dotarły do nas i zamienione w grafitowy ślad ołówka, zostawały utrwalone nad sedesem w szkolnej toalecie.

Tak się tworzyła moja wiedza o gmachu, ale ta pozaszkolna i nieoficjalna. Nie próbowałem wtedy jeszcze otwierać nieznanymi drzwiami. Co najwyżej w chwilach bezsilnej wściekłości waliłem w nie pięściami. To były reakcje dziecka, które popada w konflikt z otoczeniem, ale nigdy nie próbuje posunąć się zbyt daleko.

I tak, kiedy traciłem kontakt z rodzicami, zamykałem się w moim pokoju i tkwiłem tam długie godziny ze wzrokiem wbitym w reprodukcję Anonima, zawieszoną na ścianie. Ten obraz wisiał niemal wszędzie. Zawsze go widziałem w różnych pokojach, salonach, holach i na korytarzach. Nie było przymusu ani obowiązku, ale powszechność jego być może brała się stąd, że stanowił dla ludzi symbol nadziei, że świat nie był zamknięty w murach gmachu, lecz istniał jeszcze jakiś kosmos, który skupiał nasze pragnienia, uczucia i wyobrażenia o nieosiągalnym. Wyobrażenia nieznanego malarza utrwaliła na płótnie wizję gmachu widzianego z zewnątrz. Nie jestem w stanie go opisać, ponieważ nie znam odpowiednich pojęć adekwatnych do wizerunku przedstawionego przez Anonima. Być może ten brak bierze się stąd, że nie znam żadnych innych gmachów. Moje życie trwało i trwa nadal w środku, a nie na zewnątrz i jakiegokolwiek porównania, a więc także opisy są niemożliwe.

Zresztą to był język malarza, oryginalny, którego kod znał tylko on sam. W każdym razie ja, kiedy przesiadywałem samotnie w moim pokoju i patrzyłem na obraz, urzeczony byłem jedynie rysunkiem, barwą i formą, przynoszącymi ukojenie. Nie dostrzegałem w nim jeszcze (nie mogłem widzieć, bo nie rozumiałem) całej wagi przesłania, które chciał nam przekazać artysta.

Z Anonimem i jego obrazem zawsze wiązał się dylemat wiary i prawdy. Temat wyjścia był przedmiotem rozważań i dysput między teologami i materialistami (zwanymi czasem ateistami lub gnostykami). Byli też wyznawcy różnych teorii dotyczących prapoczątku gmachu. Różnice nie były zasadnicze, można powiedzieć, że zaskakiwały nas często zbyt wielkie podobieństwa. Mimo to kontrowersje prowadziły do zacierzewienia, kłótni i nienawiści. A także bratobójczych wojen. Niekiedy bardzo krwawych. Zwolennicy różnych teorii mieli swoich ortodoksów, którzy w imię poznania prawdy (tej jedynej) wykazywali nieprzejednaną postawę i byli gotowi poświęcić nawet swoje życie. To byli bardzo niebezpieczni ludzie, dla których nic nie miało większego znaczenia niż przekonanie wszystkich o swojej racji. Nie było ważne, że dochodzenie do prawdy mogło nie mieć nigdy swojego końca i kosztowało wiele

ofiar; ważne było trwać przy swoim i wysoko nieść sztandar swojej wiary. W jedyną prawdę.

Śledząc historię tego trwającego do dziś sporu, nie znalazłem nigdy wystarczająco odpowiednich argumentów, aby opowiedzieć się po którejś stronie.

Dzisiaj, po latach, kiedy już rozumiałem wiele spraw, odkryłem niektóre tajemnice i zdobyłem się na odwagę otwierania drzwi do nieznanych pomieszczeń, ciągle mam przed oczyma ten obraz i wydaje mi się, że jeśli kiedyś otworzę ostatnie drzwi i wyjdę na zewnątrz, to zobaczę gmach właśnie takim, jak go namalował Wielki Anonim. Dla ludzi młodych, energicznych i aktywnych, obraz ten był mottem ich poszukiwań i buntu. Kiedy wyruszyli w swoją wędrówkę, zabierali ze sobą reprodukcję i w pokojach, w których zatrzymywali się, zawieszali ją na jednej ze ścian. Następnie siadali i patrzyli weń, by czerpać z niej inspirację i energię do dalszej podróży. Ale niektórzy, po latach błędzenia po korytarzach i niezliczonej liczbie pomieszczeń, już zbyt zmęczeni, aby wszystko zaczynać od nowa, zostawiali w pokoju, a wraz z nimi zostawał obraz przypominający im o młodości i dzieciństwie, by z kolei stać się tym samym dla ich dzieci. I o to miałem do moich rodziców (wtedy jeszcze nie rozumiałem, że gmach zmusza ludzi do ciągłych rezygnacji) pretensję.

Miałem do nich żal, że za krótko szukali. To nie znaczy, że nie ponosili ryzyka błędzenia; owszem, błędzili i ponosili konsekwencje, kiedy mylili drzwi i wchłaniały ich niewłaściwe pokoje, ale osiedliwszy się wreszcie w wybranych przez siebie pomieszczeniach, może niezbyt wielkich, ale dość przytulnych, poświęcili się już tylko umeblowaniu ich, pozwalając sobie jedynie co parę lat na ekstrawagancję zmiany niektórych krzesel, foteli czy kanap.

Podobno mój ojciec brał kiedyś, jeszcze przed moim wprowadzeniem do gmachu, udział w przygotowaniach do przewrotu pałacowego, ale spisek został wykryty i wszyscy jego uczestnicy, w tym mój ojciec, mieli poważne przykrości; przez kilka lat siedział zamknięty w lochach tego gmachu. Matka nazywała to nieudaną próbą wyważania drzwi i dawała w ten sposób do zrozumienia, że nie każde drzwi należy otwierać. W każdym razie, jeśli przeszłość matki i ojca naznaczona była romantyzmem i ideą, terażniejszość była ubrana w obrządek codziennych czynności biurowych i domowych wykonywanych z bezbłędną dokładnością zegarmistrza. Zegarmistrze życia — tak nazywałem moich rodziców. Doceniałem ich próby przeciwstawienia się zastanym i skostniałym (zgodnie z ich ideą) strukturom, może nawet byłem dumny z kilkuletniej odsiadki ojca, ale

trudno mi było sobie wyobrazić ich w owym szaleństwie poszukiwań, a także zrozumieć, dlaczego nie odrzucili całej ostrożności i pedanterii, kiedy trzeba było zdobyć się na odwagę kontynuowania. Dlaczego wystarczyły im te pokoje, w których wymianie podlegały jedynie meble.

Ale wtedy, zamykając się w moim pokoju i patrząc godzinami w obraz Anonima, nie rozumiałem jeszcze wszystkiego. Rodzice byli dla mnie ciągle autorytetem i choć czasami stawałem się ofiarą ich niesprawiedliwych ocen wynikających z braku (czy też nieumiejętności) właściwego rozpoznania, nie był to na tyle silny powód, żeby ten autorytet podważyć. Kiedy wreszcie po dniach nieporozumień następowały godziny wyjaśnień, pokój wypełniał się ciepłem i pocałunkami, a ja zapomniałem nawet o Wielkim Anonimie i o jego (prawdziwej bądź nieprawdziwej) wizji gmachu.

Moje wspomnienia o dzieciństwie i rodzicach zawsze wiążą się z wakacjami. Kiedy kończyła się szkoła i rozpoczynało się nowe życie pełne leniwej beztroski i zabaw, wyruszałem z rodzicami do Ogrodu. Częściowo jechało się tam windami, a częściowo szło. Ceremonię podróży traktowano u nas bardzo poważnie i może dlatego odbywano ją w atmosferze bardzo nerwowej. Pakowanie zaczynało się już

tydzień wcześniej. Ojciec ustawiał drabinę (w tamtych czasach dużą, drewnianą i ciężką) i zdejmował z antresoli kilka skórzanych walizek, które matka najpierw odkurzała, następnie układała na krzesłach lub na tapczanie. Potem następowały długie godziny narad z ojcem, co należy zabrać. Ojciec wyrywał z zeszytu kartkę i zapisywał na niej po jednej stronie nazwę określonej rzeczy, a po drugiej — liczbę. A więc koszul — 5, spodni — 2, skarpetek — 6, chusteczek — 5 i tak dalej. Po co to robił? Wspomniałem już, że moi rodzice, a szczególnie ojciec, stali się ofiarą codziennych czynności. Po szaleństwach młodości i upokorzeniach wieku dojrzałego, w czasach pewnej stabilizacji i układania sobie życia w wybranych kilku pokojach, ojciec poddał się całkowicie niewoli dokładności i pedanterii. Tak zawsze myślałem, ale kiedyś pomyślałem, że może to był sposób na życie, w którym (wiedział już o tym) nie było miejsca na spontaniczność i odkrywanie nowych możliwości. Myślę, że w tym zamkniętym świecie ta pedanteria pozwalała mu odciąć się od nieprawości życia, które tętniło obok, a które on w jakiś sposób wspierał.

Przez następne dni rodzice stopniowo wypełniali walizki, układając bieliznę i inne rzeczy w jak największym porządku — tak, żeby nie uległy pogneceniu, i uszczelniali każdą szparę skarpetkami,

ręcznikami albo drobnymi przedmiotami, takimi jak mydło, pasta do zębów czy krem do golenia. Kiedy walizki były już zapakowane, robiliśmy pierwszą próbę zamykania ich. Siadałem po kolei na każdej z nich, a ojciec i matka przyciskali z obu stron pokrywę, dopóki nie udało się zatrzasknąć zamków. Wtedy odchodziliśmy kilka kroków i z pewnej perspektywy przyglądaliśmy się, na ile skuteczne były nasze wysiłki. Kiedy ojciec stwierdzał, że wszystko się udało, można było uznać, że pakowanie zostało zakończone. Ale czasami okazywało się, że matka zapomniała włożyć kostium kąpielowy lub wziąć suknię w kwiaty zamiast tej szarej, która wydawała się jej za ciężka i niemodna, i trzeba było otwierać na nowo wszystkie walizki, ponieważ matka nie była pewna, do której włożyła tę sukienkę, której nie chciała zabrać. Ojca wprowadzało to w pewną nerwowość, ale po wyrzuceniu z siebie kilku nieprzyjemnych uwag w końcu uspokojał się i otwierał walizki.

Jednak najwięcej kłopotów w tych dniach gorących przygotowań do wyjazdu przysparzałem ja sam. Nie bardzo lubiłem nosić rzeczy, które sugerowała mi matka. Od najmłodszych lat zawsze wybuchały na tym tle awantury. Co prawda rodzice sami ubierali się z pewnym smakiem, na mnie lubili widzieć to, co widzieli u innych dzieci. Koniec końców wśród

dąsów i pokrzykiwań, a czasem płaczu (znowu zamknięte drzwi i wlepianie oczu w obraz Anonima) dochodziło do zgody dzięki kompromisom i rezygnacjom i wreszcie można było powiedzieć, że jesteśmy spakowani i gotowi do podróży.

Najpierw szliśmy jakiś czas długimi korytarzami, wzdłuż niekończącego się rytmu drzwi i lśniących klamek. Czasami mijaliśmy jakieś szafy i inne meble wystawione przed mieszkaniami, które tworzyły przeszkody, ale nie na tyle uciążliwe, żeby stanowiły jakiś problem. Mijaliśmy także rury kanalizacyjne, które w naszym kwartale pięter zainstalowali oszczędni projektanci. Nasze piętra, choć pamiętające czasy sprzed okresu poważnego konfliktu, po którym zmienił się ustrój w tej części gmachu, uległy przebudowie już w nowszych czasach i były symbolem bylejakości charakterystycznej dla nowego systemu, zwanego czasem socjalistycznym. Marsz korytarzami z walizkami w rękach był dość męczący i dlatego oddychaliśmy z ulgą, kiedy wreszcie docieraliśmy do jednej z głównych klatek schodowych i zatrzymywaliśmy się przed drzwiami windy. Ojciec wyjmował klucz i czekaliśmy, dopóki winda nie przyjechała. Czasami czekaliśmy pół godziny albo dłużej. Nie miały ustalonego rozkładu jazdy. Były uzależnione od liczby pasażerów i postojów

na poszczególnych piętrach. Pamiętam, że kiedyś, czekając na przyjazd windy, spytałem, jak wielki jest gmach. Ojciec zmarszczył brwi i zastanawiał się dobrych kilka minut. Wreszcie powiedział: „Myślę, że jest bardzo duży”, a matka dodała: „Tak wielki, że chyba nie ma człowieka, który by go zmierzył wzdłuż i wszerz”. Ale ja pomyślałem o Anonimie...

Windą jechaliśmy długo w dół, po drodze zabierając różnych ludzi. Część z nich wysiadała po kilku piętrach, a część jechała dalej. Czasami był taki tłok, że było trudno oddychać, a czasami było zupełnie luźno. To był jeszcze czas, kiedy przy drzwiach stał człowiek w uniformie, który trzymał rękę na metalowej rączce i pociągał nią w dół lub w górę w zależności od tego, czy chciał ruszyć, czy zatrzymać windę. Kiedy zapalało się czerwone światełko nad drzwiami i rozlegał się dzwonek, windziarz popychał lekko rączką w dół i winda, stopniowo wyhamowując, zatrzymywała się na określonym piętrze. Kiedy okazywało się, że za dużo ludzi chciało wsiąść do środka, człowiek w uniformie podnosił rękę i stanowczym tonem mówił „dosyć” i ludzie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zatrzymywali się, a niektórzy pokornie wycofywali się na klatkę schodową. Windziarz popychał rączkę w górę i winda ruszała. Miałem duży respekt dla

tego człowieka. Władza jego wydawała mi się nieskończona. Chyba inni podróżni, przecież starsi ode mnie, także tak myśleli. Dzisiaj ich już nie ma. Windy są skomputeryzowane i wystarczy naciśnięcie odpowiedniego guzika, żeby ruszyć i dotrzeć do przewidzianego celu. Wieloprzedziałowe i szybkobieżne windy mkną w górę i w dół i zanim zdążymy przejrzeć pierwszą stronę gazety, jesteśmy już na miejscu. Tak jest dzisiaj. Ale wówczas jechało się wystarczająco długo, żeby można było się dowiedzieć od innych wielu ciekawych rzeczy. Zupełnie obcy ludzie zwierzali się sobie nawzajem ze swoich kłopotów i trosk. Może było to im potrzebne i przynosiło ulgę, bo wychodzili z windy uśmiechnięci i radośni. Ale bardzo często, wtedy kiedy jeździłem z rodzicami do Ogrodu tymi windami starego typu, i teraz, kiedy czasami przenoszę się z piętra na piętro już w innym celu, w nowoczesnych, jasno oświetlonych, już bez windziarza — zawsze było słycać narzekania. Najczęściej przewijało się abstrakcyjne słowo „oni”. Wypowiadane szeptem, połączone z lekkim odwracaniem głowy lub przykładaniem dłoni do ust wzbudzało we mnie ciekawość i jednocześnie obawę, czy nie dotykam czegoś przypadkiem niedozwolonego. Początkowo nie bardzo wiedziałem, o kogo chodzi. Dopiero kilka

lat później, gdy już regularnie czytałem codzienną prasę i słuchałem radia, zacząłem się orientować w lokalnej polityce i zrozumiałem znaczenie owego magicznego słowa i sam zacząłem go używać. Ale wtedy jeszcze, mając kilkanaście lat i przysłuchując się podróznym wymieniającym między sobą nagłówki gazet, w których streszczało się ówczesne polityczne i ekonomiczne życie naszych pięt, zawsze wiedziałem, że za chwilę wypłynie to tajemnicze i brudne słowo „oni”. Co ono wtedy znaczyło dla ludzi zamieszkujących naszą strefę? Dzisiaj już wiem, że kryła się w nim duża część problemów gmachu i jego władców; a także strach, czasami nienawiść, bezradność i nadzieja na zmiany. Moi rodzice nie lubili tych rozmów i na ogół milczeli. Na wypowiedanie tego słowa pozwalali sobie jedynie w swoim zamkniętym gronie, podczas urodzin lub z okazji innych towarzyskich spotkań.

W tamtych czasach windy były niewygodne i pozabawione klimatyzacji. Były wywietrzniki, żeby zapewnić wszystkim podróżującym odpowiednią dozę powietrza, ale dość prymitywne. Były także bardzo wolne. Godzinami trzeba było stać w zaduchu i w kłębach dymu, czekając, aż winda zatrzyma się i ktoś wyjdzie lub wejdzie, wpuszczając w ten sposób trochę świeżego powietrza z klatki

schodowej. Rodzice jednak nie narzekali. Za ich młodości — mówili — często trzeba było schodzić lub wchodzić po schodach, bo albo nie wszędzie były jeszcze windy, albo często się psuły. Kiedy przypominam sobie ich słowa i swoje doświadczenia z ówczesnych podróży, nie sposób nie myśleć z dumą o szybkim postępie techniki. Zarówno ja, jak i moje dzieci możemy korzystać dzisiaj z wielu wygod i ułatwień, które czynią nasze życie przyjemniejszym i mniej męczącym. Ale ciągle towarzyszy mi także inna myśl: nie przybliża mnie to do wyjścia. I mimo ogromnych wysiłków ciągle nie udało mi się nawet zbliżyć do głównego celu. Prawdę mówiąc, nawet nie wiem, gdzie jestem.

Wyprawa do Ogrodu nie kończyła się na jednej podróży windą. Po pierwszej przejażdżce i po krótkim marszu korytarzami znowu wsiadaliśmy do windy wypełnionej ludźmi jadącymi do pracy lub tak jak my na wakacje i unosiliśmy się tym razem do góry. Po jakimś czasie wsiadaliśmy i jeszcze raz odbywaliśmy marsz krętymi korytarzami. Powtarzało się to jeszcze kilkakrotnie. Wreszcie po kilku godzinach, jadąc już ostatnią windą, zaczynaliśmy odczuwać zmianę powietrza. To wpływało na odrodzenie się naszych sił. Teraz już nie mogłem się doczekać końca tej podróży i każda chwila wydawała mi się nieskończenie

długa. Rodzice byli bardziej opanowani albo lepiej potrafili ukryć swoje podniecenie; nie udawało mi się bowiem nigdy uchwycić w ich twarzach oznak niepokoju czy zniecierpliwienia. Z pewnością miały tu znaczenie doświadczenie i pewna rutyna. Niejedno przeżyli, więc taka czy inna zmiana miejsc nie miała większego znaczenia. Tłumaczyli zresztą, że to robią dla mnie. I kiedy świeży nawiew powietrza wypierał coraz bardziej zaduch ludzkiego potu i dymu papierosowego i kiedy myślałem o czymś innym, winda nagle zaczęła powoli wyhamowywać i wreszcie zatrzymała się. Drzwi otworzyły się i tłum wysypał się na zewnątrz.

Słysząc było nawoływania tragarzy; chłopcy niewiele starsi ode mnie stali z wózkami na niewielkim placu i wymieniali głośno nazwy pokoi wczasowych, wolnych i niedrogich, do zajęcia od zaraz. Rodzice nie korzystali ani z tragarzy, ani z wózków. Ojciec niosąc dwie walizki, matka jedną mniejszą i ja z jakąś torbą czy paczką (ale zawsze z aparatem fotograficznym ojca zawieszonym na szyi), szliśmy w stronę pokoi zamówionych już wcześniej pocztą — tych samych, z których korzystaliśmy co roku. Zanim ruszaliśmy, zatrzymywaliśmy się na chwilę, by rzucić okiem na błękit nieba, na drzewa i na kwietniki troskliwie pielęgnowane, a ojciec wtedy mówił: „Oby

była pogoda”, ale matka już nas poganiała: „Chodźcie, chodźcie, jeszcze będziesz miał czas o tym myśleć” — i przyspieszała kroku.

Dzisiaj już wiem, że tylko drzewa i kwiaty były prawdziwe, choć specjalnie hodowane. Błękit nieba był sztuczny, nawet niezbyt dokładnie pomalowany, ale z daleka robił wrażenie autentycznego. Jacyś nieznani dekoratorzy nie zadali sobie nawet trudu, żeby przyjrzeć się niebu na obrazie Anonima. Tam niebo było prawdziwą naturą, zjawiskiem wyzwalającym emocje, metaforą, uniwersum. Ale nikt nigdy nie zgłaszał żadnych uwag co do wiarygodności naszego nieba i nawet cieszyliśmy się, że wreszcie możemy je zobaczyć. Bo i dlaczego ktoś miałby robić uwagi, skoro nikt nigdy nie widział prawdziwego nieba. Co do świeżego powietrza do dzisiaj nie znam jego źródła. Faktem jednak jest, wszyscy przecież o tym wiedzą, że po wyjściu z windy oddychaliśmy zupełnie innym powietrzem.

Wakacje w Ogrodzie z tych lat błogiej nieświadomości i zagapień są chwilą, którą wspomnienia starają się ubarwić lub dodać nieco tajemniczości. W gruncie rzeczy były one wówczas czymś normalnym, lubianym lub nie, dzisiaj widziane są inaczej, jako zwiewne obrazy z dzieciństwa, do których chciałoby się wrócić.